

ROZDZIAŁ III

BIAŁA GRAŃ

Rytmiczne plumkanie harfy barda dochodziło z głównej sali oberży, gdy ork leżał na posłaniu, gapiąc się w sufit. Wynajęta izba zawierała tylko najpotrzebniejsze wyposażenie, takie jak: dość niewygodne łóżko, garderoba z dwoma długimi szufladami, nader ascetyczne krzesło przy niedużym, kwadratowym stoliku, stojącym w kącie, zaś na kilkuwarstwowej dykcie, służącej za blat, umieszczono świecę z wosku pszczelego w kształcie sosnowej szyszki, która płonąca, rozsiewała po przasnym pomieszczeniu przewyborny, balsamiczny aromat, kojący nerwy najbardziej podminowanych pensjonariuszy. Przy tym źródle światła znajdował się jeszcze gliniany dzbanuszek z kwartą wody, zaś funkcję podstawki naczynia pełniła poślódkła książka; Orsimer wziął ją z zaciekawieniem do ręki i przeczytał tytuł: „Søren, Mędrzec i Kmieć. Stara baśń nordycka”. Otworzył lekturę, gładząc dłonią zniszczoną okładkę, która mogłaby całkowicie odkleić się od reszty tomiku, i zaczął zapoznawać się z zawartością nadwerężonego zębem czasu egzemplarza.

Dawno, dawno temu, w odległej krainie żył kupiec o imieniu Søren. Søren był bardzo bogaty. Miał kochającą żonę i małą córeczkę. Rodzina żyła szczęśliwie, a wszyscy w wiosce zazdrościli im bogactwa. Ich sąsiedzi mówili tak między sobą: „Gdybyśmy chociaż cieszyli się połową tego szczęścia, którym Talos obdarza rodzinę Sorena”. Søren natomiast szydził z nich i twierdził: „Nie potrzebuję pomocy bóstwa. Tajemnicą mojego powodzenia są zalecenia starego Mędrca, do którego udaję się z każdą sprawą”.

Mędrzec mieszkał w dalekim królestwie. Po radę przychodziło do niego wielu Nordów, lecz Søren zaliczał się do jego najczęstszych gości. Zawsze wierzył on w słusność wskazań Mędrca, ponieważ jego pouczenia za każdym razem były prawidłowe.

Pewnego dnia Søren przybył do wioski, w której żył Mędrzec. Idąc do niego, spotkał w drodze niskiego Kmiecia, który szedł na pole, aby zasiać zboże. Søren zawołał do niego: „Kmieciu, chodź ze mną do Mędrca, a on powie ci, czy wybrałeś dobry dzień na wysiew”. Kmieć odrzekł jednak: „Słońce świeci wysoko na niebie, a gleba jest odpowiednia. To najlepszy dzień na wysiew”. I Søren bardzo się dziwił, że Kmieć nie chciał wysłuchać Mędrca.

Søren poszedł dalej. Gdy dotarł do Mędrca, powiedział mu: „Mędrcze, twa osoba odznacza się cnotą, a czyny twoje jaśnieją prawością. Nigdy nie odmawiasz podróżnikowi wsparcia. Powiedz mi: co jest najważniejsze w życiu?”. Mędrzec

pogłaskał długą brodę i głęboko się zastanowił. Następnie odpowiedział: „Najważniejsze jest w życiu, aby zawsze mówić prawdę”. Zadowolony Søren uklonił się przed Mędrce i opuścił go.

Gdy Søren wracał do domu, na spotkanie mu wyszedł sługa i powiedział: „Twoja żona zachorowała i zanieśli ją do uzdrowiciela. Podczas jej nieobecności do składu włamał się złodziej i ukradł wszystkie kosztowności. Nie martw się jednak. Nie powiadomiliśmy twej żony o kradzieży, aby jej stan się nie pogorszył”. Na te słowa Søren uniósł się gniewem i skarcił sługę: „Głupcze! Czy nie wiesz, że najważniejsze jest w życiu, aby zawsze mówić prawdę? Zaprowadź mnie natychmiast do miejsca, gdzie leży moja chora żona”.

Søren pospieszył wraz ze sługą nawiedzić żonę. Kiedy dotarli na miejsce, żona rzekła do Sorena: „Mężu, jak to dobrze, że wracasz! Źle się poczułam, a ty byłeś w podróży i nie miał się kto zająć sklepem, gdyż słudzy opiekowali się naszą córką. Teraz jednak jesteś i znów będziemy mogli zarabiać”. Søren odpowiedział jej: „Gdy ty chorowałaś, nasz sklep ograbiono i zabrano wszystkie kosztowności. Nie mamy już niczego, na czym moglibyśmy zarobić”. Żona, dowiedziawszy się o tym, gorzko zapłakała. W ciągu dwóch najbliższych dni stan jej zdrowia gwałtownie się pogorszył, a trzeciego dnia zmarła.

Zrozpaczony Søren pytał samego siebie: „Dlaczego powiedziałem jej, że złodziej złupił nasz dobytek i pozostaliśmy bez środków do życia? Powinienem być ukryć przed nią prawdę”. I postanowił wrócić do Mędrca, ażeby zawiadomić go, że się mylił.

Po wielu miesiącach Søren przybył ponownie do wioski w dalekim królestwie, gdzie mieszkał Mędrzec, lecz nie zastał go w domu. Ujrzał przechodzącego niskiego Kmiecica, jak ten wracał z roli, i zawołał do niego: „Kmiecicu, gdzie udał się Mędrzec? Doradził mi, że najważniejsze jest w życiu, aby zawsze mówić prawdę, lecz moja chora żona zmarła, gdy dowiedziała się o kradzieży w naszym składzie. Przyszedłem powiedzieć Mędrcowi, że jego wskazanie nie było słuszne”.

Niski Kmieć wysłuchał Sorena i rzekł do niego: „Wczoraj w wiosce pojawili się ludzie króla, by odebrać należną daninę. Zapukali do drzwi Mędrca i zażądali opłaty w zbożu. On zaś ani nie siał, ani nie żął, albowiem utrzymywał się z udzielania rad innym, i nie miał im z czego dać. Zapytali go: »Jaką śmiercią wolisz umrzeć? Przez ścięcie mieczem czy upadek ze skały?«. Mędrzec udzielił im zgodnej z prawdą odpowiedzi: »Wolałbym, aby rzucono mnie ze skały«. Wtedy pochwycili go, jeden za jedno ramię, drugi za drugie, i zaprowadzili na wysoką skałę. Następnie zrzucili go w przepaść. Później ci, którzy go zabili, przyszli też i do mnie, żądając takiej samej daniny w zbożu. Dałem im część tego, co sam zebrałem, a wziąwszy to, poszli dalej”.

Søren zapytał: „Cóż mam teraz uczynić?”. Kmieć odpowiedział mu: „Wróć do swojej wioski i wywiąż się należycie z tego, co zostało ci powierzone. Jeśli jesteś rolnikiem, siej i żnij w odpowiednich porach. Jeśli jesteś poborcą podatków, idź i zbierz to, co należy do twego króla. Jeśli zaś jesteś głupcem, nigdy nie radź innym”.

Søren wrócił do swego domu i przez następne lata opiekował się córką, mówiąc jej to, co usłyszał od Kmiecica. Córka tymczasem wyrosła na piękną i mądrą niewiastę, a o jej rękę ubiegali się najszlachetniejsi i najbogatsi kawalerzy w całej krainie, tak że nie brakowało im nigdy środków na utrzymanie. Søren wiódł natomiast szczęśliwe życie, aż pewnego dnia i on zmarł. Wtedy córka rozkazała wykuć w marmurze najpiękniejszy posąg Talosa i postawić go przy grobie ojca. I gromadzili się w tym miejscu mieszkańcy wioski, podziwiając wspaniałość rzeźby i modląc się przy niej. Przechodzili też tamtędy sąsiedzi Sorena, mówiąc między sobą: „Spójrzcie, czyż to nie jest grób Sorena, który mieszkał pośród nas?”. Lecz inni im odpowiadali: „Nie, to nie jest jego mogiła, tylko kogoś o tym samym imieniu. Søren bowiem gardził bóstwami”.

Miejsce pochówku Sorena słynęło tymczasem z licznych łask i uzdrowień, tak że przybywali tam ludzie wszystkich stanów z czterech stron świata. Niektórzy twierdzili nawet, że widzieli na pobliskim polu ducha Sorena, jak z sierpem pomagał przy żniwach niewysokiemu chłopu i odmawiał modlitwy wraz z nim. Niewielu jednak dawało im wiarę.

Odłożył wolumin, zastanawiając się, dlaczego mieszkańcy Skyrim tak często ujmowali Talosa jako poczesne bożyszcze, skoro w Tamriel powszechnie znano cały panteon bóstw opiekuńczych. Generalnie wyznawano wiarę w Dziewiątkę, niemniej jednak w różnych prowincjach, społecznościach czy sektach liczba bogów i bogiń ulegała modyfikacjom, gdyż dodawano lub odejmowano niektóre istoty wyższe, zależnie od miejscowej tradycji lub wręcz upodobania wyznawców. Golzagorowi najbliższe było bóstwo o imieniu Akatosh, ponieważ w Cesarskim Mieście znajdowała się poświęcona mu świątynia. Czczono ponadto Kynareth, Dibellę, Stendarra, Arkaya, Marę, Julianosa i Zenithara, a ten czy ów wznosił modły do daedr, czyli demonów, których kwantum przekraczało liczebność bogów. Dlaczego więc Nordowie tak bardzo uparli się akurat na Talosa? Szczególnie Ralof, ta hultajska dusza, miał wyjątkowe upodobanie, by wzywać jego imię: najpierw, gdy zbliżali się do Helgen, zawołał: „Niechaj Talos ma nas w opiece!”; później skierował swe słowa bezpośrednio do patrona wojny i władzy, mówiąc: „Talosie, prowadź nas!”, zaś oddzielając się od grupy, by udać się pojedynką do Rzecznej Puszczy, rzekł: „Wrócę za trzy litanie do Talosa”. Teraz Orsimer zapoznał się z niezgorzej napisanym dziełem kultury nordyckiej, w którym po raz kolejny oddawano cześć człowiekowi-bogu, znanemu także pod jego ziemskim imieniem – Tiber Septim.

– Hm, chwileczkę. Czy Tiber Septim pochodził ze Skyrim...? – myślał na głos, próbując odświeżyć pamięć. – Cóż, to wyjaśniałoby fascynację miejscowych jego osobą...

Przemyślenia przerwało czyjeś kołatanie – dochodzące zza zamkniętych drzwi wynajętej za dziesięć sztuk złota kamery. Golzagor nie spodziewał się gości.

– Kto tam? – zapytał, przystawiając łeb do szpary przy futrynie.

– Przyjaciel – odpowiedział miękki, niemal zniewieściały głos młodego mężczyzny. – Orku, otwórz – zawodził żałośnie nieznajomy.

Orsimer rozpatrzył w mig tę prośbę, uznając, że tak delikatny ton nie należał z pewnością do żadnego żołnierza Cesarskiego Legionu, bowiem oni wyróżniali się na ogół zdartymi gardłami, czego świetny przykład stanowiła zachrypnięta gardziel legata Fasendila. Nikt, poza gromowładnymi oraz rodziną Ralofa, która również nie obdarzała Cesarstwa względami, nie wiedział o pobycie zbiega w Rzecznej Puszczy, toteż miedzianym kluczem przekręcił sprężynę zamka i odemknął wejście do

pomieszczenia. Za progiem stał bez wątpienia Nord. Wysoki osobnik o jasnych, długich włosach, zaczesanych do tyłu, oparł o ościeżnicę alabastrową, delikatną jak powiew wiatru dłoń, a ork z miejsca rozpoznał go jako pieśniarza, grającego też na wielu instrumentach, z uwagi na zadbane paznokcie jegomościa i ogólnie dandysowaty wygląd.

– Czy możemy zamienić dwa słowa? – spytał goguś, wlepiając źrenice w postawną postać, która wyłoniła się z półcienia pokoiku.

– Na jaki temat? – dał antypatyczną replikę, tarasując przejście jak przed natarczywym dziadem kalwaryjskim.

– Jest to niezmiernie osobista sprawa i liczę, że mi pomożesz – odrzekł adonis kontratenorem tak krzepiącym, że największy indyferent wyjąłby dla fircyka serce z piersi. – Z pewnością zadowolili cię informacja, że będziesz miał okazję zarobić kilka septimów – dodał politycznie.

– O nie, nie... – odrzekł Orsimer, wykonując gest dłonią, jakby chciał zatrzymać przejeżdżającą karetę. – Już raz pewni Khajiitowie skusili mnie, bym przyszedł im z pomocą. Oględnie rzecz ujmując, rozczarowałem się – burknął, odmawiając młodemu galantowi, chociaż tamten nie przedstawił jeszcze swego problemu.

Bard postawił zaś na swoim i nie pozwalał tak łatwo dać się odprawić z kwitkiem:

– Orku, zrozum, to dla mnie niezwykle istotne! Dostarczysz tylko list jednej niewieście. To wszystko! – przekonywał galant.

– Aha, więc to o taką sprawę chodzi... – mruknął, drapiąc się po głowie. – Dobrze, wejdź. Pamiętaj jednak, że nadal mogę na nic nie przystać! – powiedział, zapraszając go do środka. – Daję ci jedynie szansę, abyś oznajmił to, co masz do oznajmienia. Decyzję podejmę później. Czy się rozumiemy? – zapytał wchodzącego do izby eleganta.

– Oczywiście, oczywiście... Dziękuję choć za tyle – odparł niespodziewany gość, usadowiwszy się przy stoliku.

Orsimer zamknął za nim drzwi, jednak wyłącznie w tym celu, ażeby ich rozmowy nie posłyszał ktoś w „Śpiącym Gigancie”. Nie przekręcił klucza, zostawiając go pod klamką, a następnie odwrócił się w stronę barda, zbliżył się do niego i zadał rzeczowe pytanie:

– No więc czegoś chciał?

– Jako się rzekło, przyczyną większości kłopotów mężczyzn, o czym zapewne doskonale wiesz, są kobiety – przemówił strojniś, obskubując atlasową szubę z paprochów, które tylko on dostrzegał. – Sam

również mam zgryzotę przez nad podziw powabną damę, albowiem wpadłem w sidła miłości nie znającej ni wytchnienia, ni współczucia...

– Rozumiem – przerwał mu wypowiedź ork, zauważając, że deklaracja wykwintnisia zmieniała się powoli w kliwy liryk. – Cóż tve uczucie ma wspólnego ze mną?

– Jesteś we wsi nowy. Zauważyłem cię, kiedy rozmawiałeś z oberżystą. Camilla natomiast nie zna się z tobą... Ach, à propos, czy choć widziałeś jej białe lice?... Lub przynajmniej wąski stan albo usta gładkie jak tafla jeziora w bezwietrzną noc? – Chłopak rozmarzył się, a jego wzrok wydawał się błędzić gdzieś daleko.

Picus-glancuś najprawdopodobniej unosił się nad wdziękami Camilli, przywołując w myślach jej obraz, i gotowy był na wszystko, by tylko zdobyć serce wybranki. Białogłowa zdawała mu się najwytworniejszą kobietą na świecie, toteż nie należało się dziwić, że pragnął ukazać jej powab każdemu – swoim i obcym, miejscowym i przybyszom.

Orsimer zadumał się wtenczas nad uczuciowym pytaniem zakochanego, przysiadł na skraju łóżka, podsuwając się do amanta, i dał równie tkliwą odpowiedź:

– Psiajucha, nie znam jej! Słuchaj – rzucił po chwili – widać gołym okiem, żeś zadurzony i dedukcja nie jest teraz twą mocną stroną. Powiem prosto: mam dostarczyć dziewce wyznanie miłości, tak? – skrócił do niezbędnego minimum jałową dyskusję.

Ta rzeczowość ostudziła zapal młodzieńca, który milcząco przypatrywał się rozmówcy, dumając nad tym, dlaczego orkowie tak rzadko odczuwali dodający skrzydeł niewygasły afekt. Dandys westchnął, wyciągnął zza pazuchy mieszek wypełniony złotymi monetami, a położywszy go na blacie, powiedział:

– Pierwsza połowa zapłaty, orku. Drugą otrzymasz, gdy korespondencja dotrze do adresatki.

– A list? – zauważył Golzagor, wysypując zawartość trzosu i licząc pieniądze.

Fircyk ponownie sięgnął za poły odzienia, wydobywając z zanadru zalakowaną kopertę opatrzoną napisem: „Camilla Valerius, farma Hlaalu, Wschodnia Marchia”. Ork nie od razu zwrócił uwagę na adres, lecz po chwili przeliterował tekst i wypalił tubalnie:

– Farma Hlaalu?! Gdzież to jest, na Otchłań?! Sądziłem, że ta cała Camilla mieszka w Rzeczej Puszczy!

– Owszem, rezyduje tutaj – zaznaczył pieśniarz – ale aktualnie wyjechała do kuzynki. Nie uważasz, że gdyby przebywała we wsi, sam wręczyłbym jej list?

– A ty – rzekł poirytowany Orsimer – nie uważasz, że pytanie o to, czy zapoznałem się z tą gracją, nie ma sensu, skoro pomieszkuje ona w innym mieście? Ty naprawdę najadłeś się szaleju!

Przygana sprawiła, że nieco rozdrażniony młodzieniec powstał z siedziska i schwycił miłosny liścik jak z bicia trzasł, oznajmiwszy śpiewnym tonem:

– Myślałem, żeś przyzwoitym podróżnikiem, który przy okazji swych wojaży spełni dobry uczynek i pomoże nieśmiałemu adoratorowi. Jakże się przeliczyłem! – kwilił rozdęty dumą. – Włóż monety z powrotem do woreczka. Poszukam kogoś innego – postanowił.

– Zwyczajnie nie jest mi po drodze – ustosunkował się do zarzutów ork. – Zmierzam do Białej Grani, a później... Sam nie wiem. Wybiorę się do Wichrowego Tronu? – deliberował głośno.

– Farma Hlaalu znajduje się rzut beretem od Wichrowego Tronu – wycedził hoży gładysz. – Nie będę cię jednak do niczego zmuszał, jeśli nie chcesz...

– Nie za taką sumę – przerwał mu. – Powiedzmy, że mogę dać placet na zostanie umyślnym, jeżeli i tak pojawię się w pobliżu... – Orsimer również wstał, zgarnął rozrzucony bilon i potrząsał kiesą przed jasnymi oczami zalotnika, brzękając septimami. – Trakty stały się ostatnio niebezpieczne – mówił, mając na myśli nieodległe spotkanie ze smokiem – dlatego dołożysz jeszcze dwadzieścia sztuk złota, a zapłatę uiścisz w całości z góry. Umowa stoi?

– Stawiasz sprawę na ostrzu noża... – wymamrotał smutny panicz. – Zgaduję jednakowoż, że przed miłością nie ma ucieczki... Niechaj stracę, zgoda! Czego to nie zrobię dla mej lubej? Zaczekaj – nakazał, kierując się w stronę drzwi. – Muszę przynieść z domu odliczoną kwotę.

Efeb opuścił izbę, pozostawiając za sobą woń perfum, która wymieszała się z aromatem woskowej świecy, komponując ohydny odór. Obok książki na stoliku nadal spoczywała zaklejona koperta tak, że tytuł tomu i adres nakładały się na siebie, tworząc razem słowa: „Søren, Mędrzec i Camilla Valerius”. Ork tymczasem wyszedł ze swej kwatery, usiadł przy drewnianej ławie, zamówiwszy kufel bursztynowego miodu, i snuł plany zakupu rynsztunku za dodatkowe środki. Czy będą to nowe nagolenniki, nabiodrniki, zbroja z baskiną, a może przeszywanica amortyzująca ciosy? Cokolwiek nabędzie, niewątpliwie każda osłona zda się – od wypadku – podczas przeprawy przez Skyrim, które ze spokojnego, arkadyjskiego regionu przeistoczyło się w krainę obfitującą w nieprzyjemne niespodzianki; wśród nich prym wiodła perspektywa poniesienia gwałtownej śmierci. W trakcie tułaczki po tej ziemi nieodzowny wydawał się także ponadprzeciętny oręż w postaci topora, wekiery, koncerza albo bułatu

z damasceńskiej stali, nie nadmieniając broni miotającej, czyli łuku, jak też utensyliów niezbędnych do urządzenia gadowi kanonady: strzał z ostrymi grotami i trwałego, skórzanego kołczanu.

Co atoli powstrzyma latającego źmija?

Golzagor otrzymał wkrótce pełną zapłatę od szpilmana, który na odchodne przedstawił się jako Sven, absolwent Akademii Bardów w Samotni. Następnie ork opróżnił naczynie wypełnione apetycznym trunkiem, wlewając do ust pełną zawartość kufla, by niebawem powstać z heblowanego siedziska i nieco niepewnym krokiem udać się do wyjścia z karczmy. Okazało się wnet, że okolica poczęła już pograżać się w zmroku, zaś stojący za szynkwasem oberżysta wyjaśnił, iż podróż do Białej Grani zajmie Orsimerowi przynajmniej dwie godziny piechotą, toteż nie zdąży on przybyć do miasta przed nastaniem całkowitych ciemności. Tym oto sposobem osoba, która w Rzeczej Puszczy miała zatrzymać się tylko na pewien czas, została tam na noc, odkładając wizytę w grodzie na kolejny dzień. Ponownie zamknął się więc w swej kanciapie, zdmuchnął płomień, przykrył się kołdrą z baraniej skóry, a przyłożywszy do poduchy głowę ciężką od nadmiaru wrażeń, zasnął jak niemowlę, myśląc nad tym, czy znowu przyśni mu się Ma'dran z jego szaradami. Nic takiego jednak się nie wydarzyło i o poranku obstałował śniadanie, został poinformowany przez tubylca o kierunku marszu, po czym wyszedł w poszukiwaniu jarła Balgruufa, którego – zgodnie z życzeniem Gerdur – winien prosić o oddelegowanie strażników do obrony Rzeczej Puszczy przed smokiem.

Szedł szerokim gościńcem, poruszając się wzdłuż Białej Rzeki, i chociaż zdawało się to nieprawdopodobne, ustronie piękniało z każdym pokonanym stajem. Na samym początku, zaraz po opuszczeniu gościnnej i życzliwej wsi, przekroczył solidny most, prowadzący go ponad bystrym nurtem na przeciwny brzeg potoku, gdzie trakt rozwidłał się. Przydrożny pał wskazał odnogę biegnącą na północny wschód, tuż obok zarosłego grzybem – morą tapinellą, jak mniemał wędrownik – homerycznego wiatrowału, który leżał tam spokojnie od dawno zapomnianych czasów, powalony przez zdrową wichurę. Serpentynowaty szlak wiódł pomiędzy upajającym kwieciem a szumiącym ruczajem. Ze strumienia raz po raz wyskakiwały pstrągi, a wywijając ogonami, gdy przez moment wznosiły się ponad lustro wody, srebrzyły się kryształowo czystym poblaskiem. Dalej, za wzniesieniem, rozścielały się natomiast malachitowe rozłogi, zielone łąki umajone, poprzecinane drózkami ciągnącymi do chat jak z piernika, na

które cień rzucały wirujące wiatraki, tkwiące niczym sztyldwachowie stojący na warcie złotodajnych niw. Na samym środku równiny osiadło grodzisko: wielkie, wyniosłe, obwiedzone częstokołem. Nie ulegało wątpliwości, że był to cel eskapady orka, bowiem w jednej z wież kasztelu musiał rezydować władca tej atrakcyjnej ziemi. Podróżnik uprzytomnił sobie wówczas, że całe Skyrim wyróżniało się niezwykłym wprost wdziękiem, wielokrotnie przewyższając pod tym względem niebrzydkie przecież Cyrodiil. Tułacz zachwyił się i ruszył przed siebie między polami i zagonami.

Ork zszedł ze wzniesienia do padołu, minąwszy perlący się na szypotach wodospad, w który zmieniła się Biała Rzeka, spadając z wysokości. Kiedy wkrótce przeciągnął obok miodosytни, oznaczonej emblematem z namalowanym na drewnie ulem i kilkoma pszczołami, tedy przystanął i spoczął na miedzy, rozkoszując się wspaniałościami krajobrazu i rajskim zapachem soku kwiatów. Niezwykle, że w tym godnym podziwu zakątku Tamriel nie znajdował się chyba nikt prócz Orsimera, jaskrawych ważek, grających świerszczy i szczebioczących ptaszyn. Rolnicy gdzieś się przytaili, pracownicy miodosytни krzątali się wewnątrz budynku, a trolle i smoki najwyraźniej też trzymały się na stronie, bowiem żadne bestie i szkarady nie mąciły błogostanu obieżyświata.

Golzagor wyciągnął list Svena, przyglądając mu się w świetle prążącego niemiłosiernie słońca. Korciło go, aby złamać pieczęć i przeczytać epistołę szalawitą, pewno skreśloną kunsztownym charakterem pisma albo napisaną wierszem, nad którym fatygant ronił rzewne łzy, lecz ork uznał ostatecznie, że to się nie godzi, skoro pobrał od tego pozeracza niewieścich serc okragłą sumę. Podniósł jednak kopertę, licząc na to, że prześwitujące przez papier promienie umożliwią odcyfrowanie wymyślnego tekstu. Spostrzegł wtem idącą w jego stronę kobietę. Pomyślał, że wreszcie spotka jakieś towarzystwo i utnie sobie choć krótką pogawędkę z nieznaną w zwiewnej, białej sukni. Spacerowiczka – młoda, nadzwyczaj nadobna, ale jednocześnie osowiała i zatroskana czymś elfka – zbliżyła się do orka i pierwsza otworzyła usta, pytając zupełnie bez powodu:

– O siedzący na miedzy, powiedz, jeśli wiesz: jakie wydarzenie zapoczątkowało wojnę o Czerwony Diament?

Orsimer, uznawszy to za żartobliwe rozpoczęcie konwersacji, wyrecytował jej z pamięci:

– Wojna o Czerwony Diament wybuchła w 3E 121, gdy syn Potemy, Wilczej Królowej Samotni, i Mantiarca zasiadł na cesarskim tronie, przybierając imię Uriela Septima III, co było bezpośrednią przyczyną konfliktu. Uriel zamordował bowiem poprzednią władczynię, czyli Kintyrę II, której nie uważał za biologiczną córkę Antiochusa, a więc tym samym odmawiał jej prawa do tronu. Przyczyną

pośrednią konfrontacji zbrojnej były ambicje Potemy, by jej potomek został bezprawnie ogłoszony cesarzem, co skutkowało kampanią przeciwko Cephorusowi i Magnusowi. Istnieją rozbieżne opinie historyków odnośnie do tego, czy wojna zakończyła się wraz ze śmiercią Uriela Septima III w 3E 127, po przegranej przez niego bitwie pod Ichidag, czy dziesięć lat później, a więc w roku śmierci Potemy. – Ork uśmiechnął się z zadowoleniem i rozbawiony dodał: – O elfko, powiedz, jeśli wiesz: dlaczego akurat to pytanie przyszło ci do głowy w tak niecodziennych okolicznościach?

Golzagor ujrzał łzy na obliczu skrytej rozmówczyni; ona zaś nie udzieliła mu odpowiedzi, tylko powiedziała, komentując jego wiedzę w zakresie historii Tamriel:

– Dobrześ rzekł, siedzący na miedzy. Żegnaj. – Pokazała plecy i odeszła w grzędy, znikając w oddali.

Orka długo jeszcze dziwiła ekscentryczność jej zachowania, ponieważ jedyny problem, z którym się do niego zwróciła, dotyczył dobrze znanych mu z lekcji dziejów. Nie podyskutował z przywłoką o słonecznej pogodzie, panoramie jak z obrazka, wojnie domowej, Balgruufie – kim był, komu sprzyjał, jakie miał usposobienie – nic z tych rzeczy! Ot, napatoczyła się, rzuciła zagwozdkę i polazła dalej, a gdyby nie była kobietą, uznałby ją chyba za jakiego paniczyka z marymonckiej mąki, co świata nie zna i chodzi ponury jak chmura gradowa, bo rozmówić się z nikim nie potrafi. Zaraz jednak pomyślał, że może cierpiała na jaką chorobę, a ten nierozważnie wymyśla jej w wyobraźni. Czy to przystoi przyjeźdnemu, by formułować sądy o obcym? Sumienie dręczyło nieco Orsimera, toteż schował list Svena, podniósł się, rozglądając dookoła, choć elfki nie odnalazł, a następnie ruszył pasem rozgraniczającym dwa pola, zastanawiając się, co miało znaczyć to spotkanie.

Droga do wrót Białej Grani prowadziła przy gospodarstwach, potem ciągnęła do stajni położonej tuż za murami miejskimi, gdzie dzień wcześniej zjawili się zapewne gromowładni, najmując powóz do Wichrowego Tronu, aż w końcu wiodła do opuszczonego mostu zwodzonego i głównych wierzei słusznej miejscowości. Przybysz przypatrywał się sztandarowi wiszącemu nad odrzwiami, na którym wyhaftowano herb grodu z grzywiastym łbem końskim. Później minął dwóch stróżów, uważnie mu się przyglądających, przekroczył masywne podwoje i wmaszerował do miasta. Jego oczom ukazały się pełne wdzięku domostwa, kominy buchające kłębam dymu, gargulce wieńczące wyloty rynien, chodzący wte

i wewte po kostce kamiennej ludzie, nierzadko w zdobnych szatach, zaś uszy przeszyły rżenia kobiety kowala, gdy zaciskała obcęgi na rozpalonych nitach, oraz zgiełk straganiarzy, chwających swe towary: „Soczyste mięsiwa! Baranina, sarnina, tusze wieprzowe!”, „Świeże jarzyny! Płody leśne i rolne z najczystszych ziem wokół Białej Grani!”, „Precjoza, jakich mało, na każdą kieszeń! Tylko u Fralii Siwowłosej!”. Ulice tętniły pracą posługaczy; dzieci frygały, grając w berka, albo strzelały z procy do nadętego jak indyk rewirowego stupajki i brały nogi za pas; kobiety chodziły z wiklinowymi koszami za sprawunkami. Wszędzie – rejwach, naokoło – harmider, na wszystkie strony – rozgardiasz. Tu ktoś biegnie, tam krzyknie; tu ktoś drepcze, tam poleci. Słowem, urwanie głowy. Oj, daleko miastu do wsi, daleko!

Przygniatający zamęt nie przystawał do samopoczucia orka – wyciszzonego spokojem Rzecznej Puszczy i niezwykłościami widoków. Znał on dobrze tumult metropolii, jako że przez wiele lat mieszkał w stolicy Tamriel, aczkolwiek poruszenie w Białej Grani wydało mu się nienaturalne, wzbudzone sztucznie skutkiem kija wetkniętego do mrowiska. Zagabnął trwającego na uboczu kawalera z kozią bródką, który wyglądał na zde gustowanego rozgwarem, podpierając słup pod sklepem. Sympatyczny młodzian, liczący na oko dwadzieścia lat wieku, wyświetlił przyczyny fermentu: fama głosiła, że Ulfrik uciekł z niewoli Cesarskich, a teraz planował inwazję na miasto. Jakby tego było mało, inna hiobowa wieść krążyła, jakoby chmurnik opadł z nieba i zniszczył Helgen, dlatego płatnerze wyrabiali w pośpiechu bronie, a mieszkańcy gromadzili zapasy, gotując się do wojny. Sam panicz, nieskory do bitki, przyznał otwarcie, że gwizdał na politykę, bo lepiej rywalizować w grze szachowej, niż przyprawiać braci o śmierć, zaś historię o potworze uważał za błagę. Orsimer, zataiwszy powody, dla których znajdował się w Helgen, uświadomił mu, jak bardzo się mylił, zaznaczając przy tym, że to nie chmurnik, lecz najprawdziwszy smok nie pozostawił kamienia na kamieniu, zabijając wiele osób. Golzagor dodał też, że jeśli chłopak chce ginąć jako pacyfista – jego sprawa. Wtedy młodzieniec zmiłogował się, świdrując wzrokiem przybysza, po czym orzekł, że w takim wypadku ork powinien czym prędzej przedstawić swą przygodę jarlowi, który wyda odpowiednie dyspozycje. Wskazał mu też drogę do siedziby Balgruufa: wystarczyło wspiąć się schodami do Dzielnicy Wiatru, przejść przez skwer obok starego, wielkiego drzewa, a następnie ponownie kierować się schodami w górę – wprost do pałacu nazywanego, nomen omen, Smoczą Przystanią.

Doszedłszy do Dzielnicy Wiatru, co można było łatwo poznać po rzadszej zabudowie, a przez to – gwizdzących ruchach powietrza, które szalało pomiędzy wystawnymi domami, obszedł okazałą rzeźbę, przedstawiającą, rzecz jasna, Talosa – depczącego jedną nogą wijącego się w bólu węża.

Hieratyczny heros dzierżył miecz z zamiarem ugodzenia żmii, która wystawiała zęby jadowe, usiłując ukąsić boga-człowieka. Symbolika statuy przedstawiała się aż nadto klarownie: Talos, wcielona Prawość, nadprzyrodzona i najwyższa instancja, do której może odwołać się Nord, przewycięzał czyhającego na niego węża, czyli Niegodziwość, dając poznać wyznawcom, że Dobro ostatecznie zatriumfuje nad Złem. Zamiast jednak koncentrować się na Talosie, ork skupił uwagę na gadzie pod stopami bóstwa, bowiem beznogie stworzenie budziło skojarzenia ze smokiem: również pokrytym łuskami, tak jak wąż pozbawiającym życia, a także podobnie pojawiającym się znienacka, by uciąć cną ofiarę. Zastanawiające, co myślał rzeźbiarz, kiedy tworzył to dzieło? Chyba nie antycypował, że zamiejscowemu z Cyrodiil figura stojąca w Białej Grani przypominać będzie o bestii, przed której szponami przybysz wiał, gdzie pieprz rośnie. Talos, dysponując takim ostrzem, mógłby pozwolić sobie na utarczkę z potworem, ale skuci więźniowie? Gro-Barlurka stwierdził, że miał wiele szczęścia – albo wiele łaski pochodzącej od bóstwa – iż w ogóle zdołał w Helgen wydobyć z siebie resztki sił i wydrzeć się śmierci zagładającej mu w oczy.

Orsimer ruszył w kierunku Smoczej Przystani, która górowała nie tylko nad miastem, lecz nad całą doliną, przyćmiewając swą wspaniałością nawet szlachetność pastwisk i nieskazitelność łągów, chociaż została zbudowana ułomną ludzką ręką, w odróżnieniu od doskonałej przyrody – stworzonej przez bogów jako podnózek dla ich godnych czci stóp. Nordowie przypuszczalnie pozazdrościli wciele- niom wszelkich cnót, bowiem pałac błyszczał wdziękiem nie gorzej niż błonie porośnięte kwieciami. Ork szedł schodami w górę, przechodząc obok kaskad spadających z wysoka do zbiorników wodnych, aż olśniony dobrnął do zadaszonego mostku, przemykającego do zbyt kownych wrót z drewna sosnowego, przy których porządku pilnowało dwóch stróżów odźwiernych. Zbliżył się do jednego z nich i przed- stawił swoją sprawę, zaś tamten skierował go do zarządcy włości, niejakiego Proventusa Aveniciego, pozwalając wejść do środka. Golzagar pchnął wierzeje, przestąpił próg, a wewnątrz... Ryby i grzyby, mąka i łąka!

Monstrualny hol pomieściłby cały budynek mieszkalny, tak jakby izbę zamieszkiwał wielkolud, a przecież to zaledwie pierwsze pomieszczenie! Kolosalny westybul z trudem oświetlały liczne żyrandole i pochodnie, zaś stopnie wiodły pomiędzy kolumnami podtrzymującymi strop znajdujący się tak wysoko, że zdawało się, iż sięga on nieba. Ork poruszał się dalej, dotykając stopami cudownego, pucha- tego dywanu z Rimmen, który misternie wykonali Khajiitowie – z pewnością na zamówienie, gdyż pokryty był sześciokątnymi wzorami medalionów, przechodzącymi stopniowo w końskie łby – symbole

miasta. Kotoludzie znali się w równi na kobiercach, kilimach, kupiectwie i krasomównstwie! Orsimer niechętnie zszedł z przyjemnej tkaniny, mile muskającej jego nogi, pomimo że obuł się w grube nordyckie kamasze. Znalazł się w sali tronowej, w której po bokach ustawiono stoły jesionowe, by oczekujący na audiencję mogli przy nich odpocząć, posilając się hors d'oeuvre na srebrnej zastawie. Sędziwy kapłan z długą, siwą brodą przesiadywał natomiast na jednym z krzeseł, przeto Golzgor zwrócił się do niego tymi słowami:

– Bądź pozdrowiony, starcze. Poszukuję kasztelana tego prześwieczonego dworu.

– Masz na myśli Proventusa? – odpowiedział pytająco. – Również antyszambrowuję, by wyszedł mi na spotkanie. Usiądź, proszę. Nie stój tak – dodał duchowny, odsuwając siedzenie obok.

Ork podziękował mu i przysiadł się do skromnego towarzysza, który nawet nie spoglądał na jadło przed nim, gdyż przypuszczalnie pościł. Orsimer zagał rozmowę:

– Piękny pałac...

– Urodziwy niczym brylant czystej wody – zgodził się rozmówca. – Smocza Przystań jest klejnotem Białej Grani, podobnie jak Biała Grań jest klejnotem Skyrim. Pierwszy raz w grodzie, prawda? – spytał, kładąc ręce na starej, znoszonej, płóciennej szacie.

– Tak – potwierdził Orsimer. – Odwiedziłem też Rzeczną Puszcę. Na wsi życie płynie spokojniej niż w mieście. Nikt się nie spieszy, nie pędzi na złamanie karku... Ach, ale tam nie wznoszą takich rezydencji – mówił, patrząc na pusty tron w centrum sali.

– Racja, choć pewnie zmartwień też mają mniej – lamentował duchowny. – Widzisz, jestem Andurs, kapłan Arkaya. Zajmuję się pochówkami i przygotowaniem umierających, by godnie przeżyli ostatnią godzinę. Niestety, stało się coś niebываłego – jęknął, kręcąc z niedowierzaniem głową i spuszcżając wzrok. – To bezprecedensowa sytuacja, doprawdy!

– Cóż takiego się wydarzyło? – pytał Golzgor.

– Niektórzy nieboszczycy w komnacie umarłych powstali! Nic nie wskazuje na to, by mieli złe zamiary; po prostu krążą po krypcie, nie wychodząc na zewnątrz, ale szczerze mówiąc, boję się konfrontacji z nimi – powiedział Andurs.

– W komnacie umarłych? – postawił pytanie ork, gdyż nie słyszał dotąd o takim miejscu.

– Och, wybacz – przepraszał kapłan – zapomniałem, żeś nietutejszy. Komnaty umarłych są katakumbami w obrębie miast. W Skyrim, zgodnie ze starą tradycją, zwłoki poddaje się kremacji, zwłaszcza kości wybitnych wojów, jednak część Nordów przejęła zwyczaje pogrzebowe Altmerów

i domagają się w testamentach, by ich ciała złożono po śmierci do ziemi. Wziąwszy pod uwagę ograniczoność przestrzeni, chowani są w podziemiach, czyli tzw. komnatach umarłych – tłumaczył uprzejmie. – A do pałacu przychodzę, by paru strażników pomogło mi... Cóż, uporać się z problemem błądzących umrzyków? Trudno to nazwać. W każdym razie obawiam się wejść tam samemu, a musimy dowiedzieć się, jaka jest przyczyna ich powstania... zmartwychpowstania – poprawił się.

– Niewiarygodne – zdziwił się Orsimer – ale po ostatnich zajściach uwierzę chyba we wszystko. Osobiście wszak spotkałem realnego smoka.

– Ech... – wyszeptał duchowny, skubiąc w zamyśleniu swój zarost. – A więc to prawda... Martwi błąkają się wokół trumien, smoki panoszą się w Skyrim... Co jeszcze się zdarzy? Wilkołaki wyjdą na ulice?! – wzdychał Andurs, a usłyszawszy czyjeś kroki, obejrzał się i powstał.

Zbliżał się do nich sześćdziesięcio – chyba – letni jegomość o lekko ciemnej karnacji, który nosił elegancki, pikowany strój, a wokół stanu zapiął skórzany pas ze złotą sprzączką. Wygląd tego zabawnego i dość niskiego człowieczka utwierdził orka w przekonaniu, że był on urzędnikiem dworskim, dlatego wziął przykład z kapłana i także podniósł się z krzesła. Przybyły powitał zgromadzonych, przedstawiając się Golzagorowi jako Proventus Avenicci, prawa ręka jarla, a następnie począł dyskutować z Andursem na temat niepospolitych zdarzeń zachodzących w krypcie, zaś ork widział, jak w trakcie rozmowy włosy zarządcy stawały dęba na głowie; nieliczne, ponieważ większą część jego czaszki pokrywała łysina. Po wysłuchaniu wyznawcy Arkaya odrzekł, że wystąpi do kapitana z prośbą o wysłanie dwóch strażników, by zbadali sytuację w komnacie umarłych, lecz jednocześnie zaznaczył, iż kazu wygląda na magiczny, tajemny, toteż dobrze będzie, jeśli przedtem starzec skonsultuje się również z nadwornym magiem. Duszpasterz podziękował mu za dobrą wolę i pomału oddalił się w swoją stronę.

Mając z głowy tę sprawę, w dalszej kolejności Proventus zapytał orka o jego problem. Gro-Barlurka, nie pisnąwszy słowa o tym, że był zbiegłym więźniem, zarysował historię o bestii: że pojawiła się nagle w Helgen i rozbijała w drobny mak budynki; że zginęło wielu niewinnych mieszkańców; że w panice uciekł do Rzeczej Puszczy, a tam poproszono go, aby udał się do jarla Białej Grani z apelem o oddelegowanie wojsk do obrony wioski przed zmijem. Zarządca tymczasem zbladł, po czym oznajmił, że informacje te doszły już do jego wiadomości, ale nie miał dotąd okazji spotkać osobiście kogoś, kto uszedł cało ze spotkania z potworem. Poleciał Orsimerowi zaczekać, gdy on pójdzie po jarla, który może chcieć we własnej osobie porozmawiać z gościem.

Balgruuf Większy, bo tak został zaanonsowany, przybył błyskawicznie, zasiadł na tronie, nosząc na skroniach diadem z wielkim rubinem pośrodku i dwoma mniejszymi szafirami po jego bokach, posłał po czarodzieja i nie ociągając się, przepytował zamiejscowego. Władca włości okazał się nobliwym dżentelmenem o miękkim, lecz zdecydowanym głosie, jasnej szpicbródce i falujących włosach, które sięgały mu do ramion. Jego szata jednakże, porównując ją z odzieniem Ulfrika czy generała Tulliusa, nie cechowała się szczególnymi walorami, chociaż uwagę przykuwała tkanina oblamowana futrem z kuny.

– Czyli to tobie udało się wykpić śmierci w Helgen? Jakim cudem...? – pytał jarl, przesywając wzrokiem delegata z Rzecznej Puszczy.

Ork chciał być miły, więc odparł:

– Talos, zda się, mnie prowadził.

– Ha! Nie ulega najmniejszej wątpliwości! – zachwycił się namiestnik i dodał: – Jak godność, obywatelu Orsinium?

– Golzagor gro-Barlurka – odrzekł. – Wychowałem się w Cesarskim Mieście, choć rzeczywiście zwą mnie często Orsimerem.

– Poznaję po dobrych manierach! Pewnie nie tylko jesteś dzielny, ale i obdarzony inteligencją, mam rację? – mówił jarl, przysuwając się tak blisko w stronę gościa, że jeszcze chwila i spadłby z ozdobnego fotela.

– Wasza Miłość jest bardzo uprzejmy – odpowiedział ork, naśladując słownictwo używane przez Ralofa wobec Ulfrika Gromowładnego.

– No, no... – roześmiał się Balgruuf, a następnie zwrócił się do Proventusa: – Ależ nam się unikat trafił! Co za niepowszednia ogłada! – Jarl odwrócił się twarzą w stronę przybysza, który nie wypadł z roli i stał na baczność w pewnej odległości od władcy, tak jak protokół nakazuje. – Golzagorze, zanim przedstawiś swój problem, pozwól, abym dowiedział się o kilku naglących sprawach. Jak duży był smok widziany w Helgen?

– Olbrzymi, potężny, kolosalny... – wymieniał Orsimer. – To tylko niektóre słowa przychodzące mi na myśl. Cielsko miało może wielkość domu, lecz z korpusu bestii wyrastała długa szyja, takiz sam ogon i jeszcze okazańsze skrzydła – tłumaczył, żywo gestykulując. – To właśnie na nich wznosił się i opadał w oszalamiającej prędkości.

Wtenczas do słuchających opowieści dołączył czarodziej w granatowym okryciu i przystanął z boku, nie pozdrowiwszy nawet jarla. Golzagor pomyślał, że to z pewnością mag nadworny, co wyczytał

z jego szarej, umęczonej twarzy, która zbyt długo ślęczała nad księgami, nie zaznawszy od dawna słońca.

– Czy zniszczył miasto doszczętnie? – ciągnął Balgruuf.

– Drobniejsze budynki rozwałił jednym uderzeniem, zaś większe, takie jak donżon czy warownia, poważnie uszkodził, ale zdaje się, Wasza Miłość, że przetrwały nawałnicę, choć ugiwały się pod naporem gada, gdy kryłem się w ich wnętrzach – relacjonował ork, mając ciągle przed oczami szkarłatną krew zmasakrowanych mieszczan.

– Niesamowite! – wtrącił się czarodziej. – Był pokryty łuską? Ział ogniem tak jak w starych klechdach? – dopytywał.

– Farengarze! – zgromił go namiestnik. – Nasz gość nieomal zginął, a później zadał sobie trud, by ująć kawał drogi i wszystko mi zrelacjonować. Nie przerywaj w swej łasce.

– Tak jak mówiłem – kontynuował Golzagor – to dla mnie kompletne novum. Słyszałem ongiś, że smoki żyły za Ysgramora, ale czy to prawda... Nie wiem. – Ork wzruszył ramionami.

– Prawda, prawda – rzucił Balgruuf. – Ten pałac zwie się Smoczą Przystanią nie bez powodu. Proventusie, zechciej wyklarować sytuację – przemówił do niewysokiego zarządcy, który podpierał ścianę, lecz usłyszawszy, że został wywołany do odpowiedzi, wyprostował się i podszedł do Orsimera.

– Za króla Ćwiczka, a może jeszcze dawniej – prawil kasztelan – chodził po świecie wojownik o imieniu Olaf Jednooki. Na szczycie góry Anthor starł się ze smokiem, Numineksem. Pojmał go, a następnie uwięził w pałacu, w którym obecnie mamy przyjemność przebywać. Na pamiątkę tych wydarzeń przybytek nazwano Smoczą Przystanią, zaś Olaf został ogłoszony Najwyższym Królem Skyrim.

– Według innej wersji – uzupełnił historię jarl – Olaf Jednooki sam był smokiem, a na tron wstąpił tylko dlatego, że przekupił świadków tamtych wydarzeń, by kręcili wici, jakkolwiek to mało istotny szczegół. Smoki istniały naprawdę, a teraz wróciły – powiedział z widomą troską w głosie.

– Rzeknij jeszcze, orku, czy uchwyciłeś jakie słabości bestii, gdy ta napadła na Helgen? – indagował dalej przychodnia.

– Nie sądzę, by gadzina miała jakiegokolwiek słabe strony – chrząknął markotnie Golzagor.

– Legioniści ćwiczyli monstrum najlepiej, jak potrafili: strzelali z łuków, machali szablami, kropili ogniem i mrozem...

– A co smok na to? – przerwał podekscytowany czarodziej Farengar.

– A smok dbał o to jak pies o piątą nogę – zakończył z gracją przybysz.

Przejęci dworzanie oraz magnat poczęli naradzać się, przekrzykując się nawzajem i zapominając o ceremoniale, którego winni przestrzegać w obecności jarla. Jeden poradził, by bić w dzwony na trwogę. Drugi odparł, że mieszkańcy dość są spanikowani i prawdę należy za wszelką cenę ukryć przed motłochem. Trzeci zganił drugiego, jęcząc, że tak nie wolno czynić, a ponadto spostrzegł, że gawieź dowie się wszystkiego pocztą pantoflową. Największy przestach budził jednak fakt, że nie dysponowali niczym, żadnym orężem ani żadnym sposobem, by zatrzymać żmija, gdyby ten zechciał nastąpić na Białą Grań. Wymieniali się lepszymi i gorszymi pomysłami: wysłać oddział do głuszy, by odciągał uwagę potwora od miasta i osiedli; uwiązywać zwierzęta tuczne poza murami grodu, ażeby drapieżnik posilał się nimi, a oszczędzał ludzi; rozpalać gigantyczne ogniska i dymem płoszyć straszdyłło; wyznaczyć wachty dla obserwatorów nieba, aby zawczasu ogłaszali alarm. Farengar przypomniał sobie natomiast, że w biblioteczkę przechowywał kilka książek ze wzmiankami o smokach, tak więc skierował się do swego gabinetu, zostawiając nachmurzonego Balgruufa, poirytowanego zarządcę, a także orka, który również dumiał nad kwestią utrupienia poczwary. Twardoskóry alochton zabił wszak już trolla, ale nasiec smoka – to dopiero byłby powód do dumy! Chwała o jego dokonaniu rozeszłaby się stąd do Elsweyr! Ale jak tu zrobić ze stwora miazgę, skoro tamten wydawał się niepokonany, jakby nieśmiertelny?

– Cóż, wbiłeś mi ćwieka w głowę, orku – westchnął nagle jarl. – Nie troszcz się tym; to nie twoja wina. Dobrześ zrobił, że tu przybyłeś... Bardzo dobrze – pochwalił go.

– Dziękuję Waszej Miłości. Jeśli można, chciałbym załatwić jeszcze jedną formalność, zanim o niej zapomnę – odrzekł układowie gro-Barlurka, kłaniając się delikatnie.

– Zamieniam się w słuch. – Namiestnik skupił na nim przenikliwe spojrzenie.

– Gerdur z Rzecznej Puszczy prosi, aby Wasza Miłość, jeśli łaska, zechciał skierować kilku żołnierzy do obrony wsi, która leży najbliżej zrujnowanego miasta – wyartykułował prośbę, a następnie unizienie skierował wzrok ku podłodze, licząc, że przywódca ugnie się chętniej przed osobą w pokorze ducha. Balgruuf Większy ciągle przyglądał się Orsimerowi, nawet nie mrugając powiekami. Zdawało się, że rozważał wniosek gościa, myśląc nad tym, czy warto pozbywać się części wojska w sytuacji, gdy każda para rąk zdolna utrzymać miecz będzie nieodzowna, by bronić tak cudownego pałacu przed nieboskim stworzeniem, które może zlecieć w okamgnieniu z nieboskłonu. Po chwili jednak uśmiechnął się i powiedział do Proventusa, by kapitan straży w Białej Grani wyznaczył sześciu wojskowych: czterech z zamiarem posłania do Rzecznej Puszczy, a dwóch z przydziałem udania się do komnaty umarłych. Dodał też, jakby czytając orkowi w myślach:

– Jeśli nie wiemy, jak pokonać smoka, odkomenderowanie wojowników wydaje się lekkomyślnością, lecz nie wolno dopuścić, aby moi poddani sądzili, że ignoruję ich błagania, gdy maskara puka do drzwi domostw. – Powstał z tronu z zamiarem opuszczenia sali, ale zaraz zatrzymał się i rzekł: – Golzagor gro-Barlurka, tak? Od dziś jesteś osobą mile widzianą w tym pałacu. Nie opuszczaj również miasta przez jakiś czas, bowiem posiadasz nieocenione doświadczenie z Helgen – zakończył jarl, a nakłaniając przybysza do pozostania w grodzie, zaoferował mu ponadto pokój w gospodzie na koszt dworu.

Audiencja zakończyła się, zaś namiestnik, stukając obcasami o podłogę, oddalił się, podobnie jak jego zarządca, który – wierny jak pies – towarzyszył zwierzchnikowi, niosąc za nim diadem. Widok ten jawił się niezwykle pociesnie, ponieważ łysiejąca głowa kasztelana dosięgała zaledwie do połowy ramienia Balgruufa – i to nie dlatego, że władca odznaczał się dużym wzrostem, lecz ze względu na wysokość, albo raczej niskość, sługi liliputka. Należało przypuszczać, że kłopot z fruującym postrachem rozwiązałby się sam, gdyby wszyscy mieszkańcy Skyrim wyglądali równie filigranowo – po prostu smok umarłby po pewnym czasie z głodu.

Ork opowiadał sobie w myślach podobne kawały, ponieważ jarl oraz jego – jak to określono – prawa ręka nie cechowali się istotnymi cnotami czy zaletami charakteru. Orsimer zachowywał się wobec nich służalczo, ale tylko z tej przyczyny, że tak należało czynić w towarzystwie arystokraty, a nie z uwagi na szczególną sympatię, którą darzyłby Balgruufa czy Proventusa. Ulfrik Gromowładny, Ralof, Morten, Hod – to dopiero pierwszorzędna kompania; z nimi czuł się jak z własną rodziną, zaś ten wysoko urodzony jaśniepan... Ani brat, ani swat. Instrumentalne zachowanie przybysza, pełne szyku i godności, pozwoliło mu atoli osiągnąć cel – jarl na wszystko przystał, a nawet sam zaproponował izbę w oberży! Wszystko dzięki temu, że ork miał miód w ustach wtedy, gdy wymagały tego okoliczności. Spryt i zaradność niczym w khajiickim taborze!

Golzagor zmierzał w kierunku wyjścia, zastanawiając się, kiedy odchodzi najbliższy powóz do Wichrowego Tronu. Przy pobliskiej ścianie palatium, zdobionej fryzem, ujrzał coś w rodzaju tablicy albo drewnianej planszy, na której wisiała olbrzymia mapa prowincji Skyrim, opatrzona podpisem kartografa. Karta pełniła przypuszczalnie funkcję ozdobną, ponieważ znajdowała się pomiędzy stolikiem z donicą azalii a portretami i różnymi landszaftami, jednakże obcym, takim jak on, ułatwiała obeznanie się z położeniem miejscowości w krainie. Przypatrywał się z zainteresowaniem pokrzywionym granicom regionu, który od południa graniczył z Cyrodiil, czyli Prowincją Cesarską, i Hammerfell, od zachodu –

z Wysoką Skałą, zaś od wschodu – z Morrowind. Odnalazł szybko Białą Grań, wodząc palcem od gór Jerall w stronę Helgen i Rzeczej Puszczy. Później, przypomniawszy sobie słowa Mortena Nieulętkłego, kierował się Białą Rzeką na północny wschód, aż dotarł do Wschodniej Marchii ze stolicą w Wichrowym Tronie. Droga od Smoczej Przystani do peryferii Skyrim, gdzie koryto łączyło się z Morzem Duchów, ciągnęła się długim i krętym zygzakiem. Ile dni, zastanawiał się, zajęłoby pokonanie tej trasy konno? Uradził, że warto spytać o to wozaka lub kogo zorientowanego w ukształtowaniu powierzchni, jeśli faktycznie chciałby ponownie spotkać się z jasnowłosym basałykiem i jego komilitonami.

Wychodząc, spostrzegł jeszcze służkę o twarzy znaczonej bliznami po dawno przebytej ospie, wymieniającą wodę w wazonie stojącym przed czymś konterfektem. Obecność kwiatów w tym miejscu oznaczała niestety, że jedna z osób przedstawionych na portrecie odeszła już z tego świata. Wizerunek ukazywał dwie postacie: pewną kobietę oraz Balgruufa Większego, usłusznionego pędzlem artysty, który odmalował nijakiego jarla niczym Najwyższego Króla Skyrim, dodając gronostajową suknię z trenem i przyprawiając mu fizjonomię tak szlachetną, tak rycerską, że ork omal go nie rozpoznał. Namiestnik, jakkolwiek się na to zapatrywać, bez wątpienia nadal pędził żywot bez wyrazu, toteż Orsimer skostatował, że do wiecznej chwały powołano damę, którą przeniesiony na płótno magnat obejmował ramieniem. Czyżby jego żona? Zapytał o to posługaczkę, a ta potwierdziła przypuszczenia Golzagora, dopowiadając, że ładniejsza połowa władcy, Calanisa Silmenda, zmarła przed pięcioma laty. Służąca rozrzewniła się, wspominając przepiękną kobietę – elfkę, miłośniczkę spacerów na łonie przyrody, która oddała ducha w prozaicznych okolicznościach: pewnego słonecznego dnia opuściła pałac, wyszła poza mury miejskie i czytała książkę pod starodrzewem, gdy wnet uządliła ją niepozorna pszczoła... Niewiasta, uczulona na jad pracowitych owadów, zgasła w otoczeniu bezkresnej przyrody, trzymając na kolanach ulubioną lekturę, a więc w chwili śmierci otaczało ją to, co kochała najbardziej: anielskość doskonałej natury i przesycający duszę zapach atramentu świeżo skreślonych stronic.

Opowieść służki wydała się orkowi niepokojąco znajoma. Ogarniał wzrokiem płótno, a w szczególności rysy pełnej wdzięku twarzyczki. Malarz nie musiał jej nawet doskonalić; ideału nie można wszak poprawić. Urodna gołębnica uśmiechała się na portrecie, lecz ten szczegół nie zwiódł przybysza. Spytał służebnicę o wskazanie kierunku do komnaty umarłych.

– Pragniesz oddać cześć zmarłej? – zdziwiła się.

– Pragnę przekazać Andursowi, że dziś, w pobliżu miodosytnei, miałem przyjemność poznać Calanisę. W rzeczywistości jest jeszcze bardziej urocza niż na obrazku.